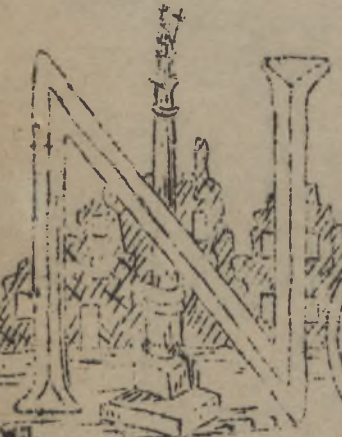


Rok I.

Egersund /Norwegia/, dn. 23.10.45r.

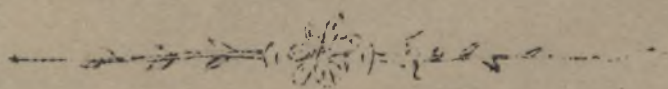
Nr.1.



NOWA ZORZA

*Tygodnik
literacko - rozrywkowy.*

*pod redakcją
Alfonsa A. Okiewicza.*



Cena egz. 20 öre.

T R E Ś Ć

	Strona
Do Czytelników	2
Apel do Młodych Talentów	3
Z Mroku do Jasności - Nowela	4
Poezje:	
1. Czeka nas praca	6
2. W górach	7
3. Do nauki	7
4. Krajobraz norweski	8
5. Cyrklem	9
6. Wizja powstania	10
Trzydzieścisiedem plus trzy - powieść krym.	11
Recenzja	15
Humor	16
Odpowiedzi Redakcji	16

DO CZYTELNIKÓW

Dając Czytelnikom pierwszy numer tygodnika: "Nowa Zorza" do ręki, wiem, jak doniosłą rolę to pismo spełniać będzie. Potrzebę takiego właśnie pisma odczuwano się na terenie naszego obozu od dosyć dawna i sądzę, że ukazaniem się pierwszego numeru, poklask wszystkich zyskam. Postaram się i starać się będę dać w piśmie tym rzeczy ciekawe i interesujące każdego. Jest poezja i proza. Poezja zajmuje mniej szeroki ogół i wchodzi w orbitę zainteresowań przeważnie znawców, miłośników i - poetów. Są ludzie co przeczytają wiersz i - przechodzą do porządku rzeczy. Są ludzie co nie czytają wierszy. Więc poezje będą miały li tylko elitę, wybraną garstkę miłośników. Za to proza: nowela i powieść jest, że tak powiem, konsumowana przez szeroki ogół. Prozę czyta każdy. Szary, codzienny człowiek szuka w lekturze, w prozie rozrywki, odpoczynku, gdzie myśli jego mogą odprężyć, gdzie może zapomnieć na parę godzin o swej codzienności. Czytaniem prozy zajmującej chce skrócić czas czekania na ten tak utęskniony wyjazd do kraju, do Polski, do domu - gdzie czeka każdego twarde praca. Czeką każdego roboty, do której z zakasnymi musi się zabrać rękoma. To każdy wie.

A więc, gdy po blisko sześciolatniej niewoli, w której dźwięk mowy polskiej był tłumiony, prześladowany przez hitlerowskiego najeźdźcę, gdzie za polskość dużo Polaków ginęło w obozach koncentracyjnych - mowa polska weszła znów na wyżyny wolności, znów zabłysła zorza, nowa zorza, do której każdy z nas tęsknił i marzył o niej w udręce i ułasku wroga, to z jak wielką radością, by relikwie jakieś hierzem gazetę, pismo polskie czy książkę do ręki i nie możemy uwierzyć że teraz nam wolno, nie ukradkiem, nie z obawą że wróg zobaczy, ale z całą świadomością potęgi wolności słowa polskiego, z poczuciem jasnym ogromu naszej duszy i niewygasłego uczucia miłości dla ojczyzny.

Jesteśmy narazie na obozyńnię, lecz ta myśl nam daje moc i siłę, że przyjdzie ów dzień, przyjdzie też chwila, że nareszcie będziemy na naszej ukochanej, odwiecznej ziemi ojczystej. Otóż polska myśl, polskie słowo zrzuciło ciężkie, krepujące łańcuchy niewoli i stoi zwycięskie, wolne przed nami. Jest: w gazecie lub książce.

----- 0 -----

Alfons Aa Olkiewicz

----- APEL DO MŁODYCH TALENTÓW -----

Zwracam się do Młodych Talentów na terenie naszego obozu i wzywam wszystkich - co czują w sobie tę iskrę, że tak powiem Bożą iskrę tworzenia, czy to w formie noweli, artykułu, powieści, feljetonu, czy wiersza - do współpracy.

Polska patrzy właśnie na tych Młodych i wiele się po nich spodziewa. Oni mają odbudować wojną zniszczony kraj swą nową ideą, poszukiwaniem nowych dróg wśród popielisk, gruzów, pyłów i zniszczenia. Mają wskazać drogi, po których nikt nie chodzi, drogi świetlane, drogi nieznane.

Otóż wzywam Was wszystkich, wszystkich tych, pragnących współpracować, mających chęć i dobrą wolę.

-----0-----

A.A.C.

Alfons A. Olkiewicz.

Z MROKU DO JASNOŚCI

Nowela

Na następnej stacji starszy pan wysiadł z przedziału Anzelm Ewliński został sam. Gdy pociąg ruszył znowu Anzelm przykrył powieki. Nie drzemał. Manatony szurgot kół pociągu o szyny zmuszał mimowoli do rozmyślań. Mo nie było jak rok temu, gdy jechał pociągiem od jednej stacji bladooświetlonej o zaciemnionych oknach zabudowań stacyjnych, poprzez ciągłość mroku drogi, do drugiej stacji bladooświetlonej. I mijały te stacje, jak blade punkty zatrzymywania się pociągu w drodze, jak blade widma upiorzyc, aby znowu przez swego kapłana obowiązków i sumiennosci służby, dyżurnego ruchu, pociąg wysłać w ciemność smołową, poznaczoną ciemnoszarymi brykami geometrycznymi domów o zaciemnionych oknach, aby znowu przybył do następnej stacji.

Anzelm Ewliński w przypomnieniach widział w obrębie większych stacji sygnały i semafore o zielonych i czerwonych światłach, widział lampy elektryczne przyćmione, lampy, co światła swe rzuciły z wysokich swych masztów żelaznych na pewien ściśły obręb. Widział wrzynające się w ciemność jakby wycięte z białego papieru piramidki czy ostroskupy światła padającego ku ziemi i oświetlające li tylko odcinek w którym znajdowała się część średniawych prętów szyn. Widział Anzelm żółtawe światła latarni zwrotnicowych, co jak ogniki błędne porozrzucane były w obrębie torów.

Stacje jako punkty zatrzymywania się trupieblade, rozkaczające odcinki ciemności, by odcinki drogowe od danego kilometra do danego kilometra nie dozwoliły, aby ciąg ciemności był ciągły, wiekuisty, nieskończony i pociąg jechał wiekuście w tej ciemności czarnej jak gęsty czarny tusz. Bo niepojętym dla mózgu człowieka byłoby, aby pociąg mógł jechać wśród ciemności nieskończenie bez zatrzymywania się, gdzie punkty w znaczeniu stacji byłyby skasowane, znaczy, nie istniałyby. Można by taki pociąg zwać pociągiem przejeżdżającym przez, czarnym światłem oznaczoną, sygnały, znaczy niby bramę śmierci w krainę wiecznej ciemności.

Tak, to wszystko było. Mo było i nie wróci.

A dziś, jakież to inny obraz, gdy otworzył powieki. Dziś, gdy wojny zmor, zniweczona, przepadła jak zły sen makabryczny, dziś jedzie pociąg od stacji jasnooświetlonej poprzez ciemność poznaczoną domami o oknach jasnooświetlonych do stacji następnej jasnooświetlonej. Od miasta tyśiądami światła iluminowanego, do miasta jasnooświetlonego.

Jakiż to inny obraz. Doprawdy.

Przypomniak sobie Anzelm i całość drogi okrętem i pociągami przez Norwęgję, przez kraj fiordów, gór i wodospadów. Przez kraj słońca polarnego, białych noczy i zorzy polarnej. I w jego twórczej pamięci utkwiły cudowne wspomnienia zachodu słońca i zmierzchu na morzu. Obrazy godne pędzla artysty-malarza. Przypomniak sobie zamykając znowu powieki, ten piękny zachód słońca na morzu: Góry przybrały odcień czerwono-fioletowy; w dali słońca żar rozlał się barwą akwarelową po niebie, żar przechodzący dalej, w górnej kopule nieba w błękitny kolor. Słońca żar prześwieca przez czarny dym idący z kominu okrętu i daje dymowi temu odcień jasnobronzowego, wiotkiego, delikatnego muslinu, rozwiewającego się w powietrzu cichym, cichym jak nabożność nieskończona wieczernej modlitwy. Okręt sam jak z czarnej matowej wykuty bryły posuwa się po stalowego koloru wodzie morza majestatycznie, powoli w ten żar zachodu słońca, co się stopniowo w żółtałość zmienia. A potem po jakimś czasie grabiejeczna kolorów pogasła.

Góry przybrały odcienie ciemne. To stopniowanie ciemnych barw było ciekawe, arcydziśkawe. Góry na pierwszym planie były czarne jak gęsty tusz lub skrzep ciemnej krwi. Dalej za nimi góry przybrały odcień ciemnoszary, dalsze szary jak cement, a jeszcze góry daleko w dali przechodziły w sinoszary kolor i wyglądały jakby z mgły samej. Sylwetka okrętu posuwa się dalej po szarej jak płynny ołów czy cyna powierzchni morza.

Pociąg zatrzymał się na stacji. Dalsze rozmyślenia Anzelma przerwało nagłe otwarcie drzwi przedziału. Weszła młoda, piękna kobieta. Zajęła miejsce vis-a-vis Anzelma. Trzymała bilet kolejowy w ręku. Anzelm patrząc zamyślonym wzrokiem na trzymaną w ręku kobietę, bilet. Potem podniósł Anzelm spojrzenie swe z biletu na szczerą, bladą, uduchowioną, o ciemnych dużych oczach, twarz nieznajomej i szepnął w zamyśleniu:

--Kupiła pani bilet na ostatniej stacji Mroku przez samoloty zbombardowanej. Pogięte żelaza dźwigarów, wpółzwęglonych belak konstrukcji dachowej, okopcone dymem mury zabudowań sterzą, Popioły i gruzy. Bilet wykupiła Pani do stacji Jasnoci o oświetlonych jaskrawo oknach.--

--Mówi pan jak poeta. Sliczne porównanie. Doprawdy wracamy, wracamy z mroku wojny, wojny pełnej makabrycznych obrazów, pełnej jęków, łez, rozpacz, wracamy do jasności, do życia, do radości, do szczęścia. Wracamy z głębiny przepastnych czarnych złego snu na wyżyny jasnego, pięknego snu, który daj Boże, by nigdy się nie skończył. Wracamy, aby odbudować to, co wojna zniszczyła, odbudować pokój wkoło i pokój w nas. --

Pociąg mijak stacje, jedną po drugiej. Dojechał Anzelm Ewliński do celu podróży i nieznajoma również.

P O E Z J E

C z e k a n a s p r a c a

Czeka nas praca.
Twarda i trudna;
Odbudować z gruzów wojny
Kraj,
Wynieść nowe życie z pyłów i ruinowisk,
Nową, silną stworzyć
Myśl
I nową, niezwyciężoną ugruntować potęgę.

Czeka nas praca
Twarda, pionierska
Na nowych, przyłączonych ziemiach,
Przecznać prostokąty rozległych
Pól
Pługiem spłnionych pragnień, zniszczonych nadziei,
Marszczyć
Rzucone ziarno naszych Wielkich Snów.
Wzejdzie złoty zbożem,
By powitać złotą, ery naszej, zorzę.

Czeka nas praca.
Wielka i zmienna,
Odbudować polskiej wiosny
Miej.
Rozświecić wszelkie mroki
Nowymi pochodniami
Nowy, jaśniejszy stworzyć
Brząsk
N. wschodzie naszych historycznych przyszłych dni.

Alfons A.Olkiewicz

8.10.45.

W g ó r a c h . . .

U stóp schronisk watra jasno płonie,
Potok mknie w szaleńczym swym biegu,
Szczyt tajemniczo w ciemnych chmurach tonie,
Pokryty białym okłutem śniegu.

Idę tak siedzę wpatrzony w skalne płyty,
Z ogniska sypią się złote skry,
Budzi się na dnie śreś ból ukryty,
A w oczach błyszcza dwie perliste łzy.

I mimowoli skarga z ust się wyrwa,
Dusza przed gór potęgą się korzy,
Modlitwa z głębi chmur pierzastych spływa
I biegnie hen ... pod tron Boży.

Wichur ... wyrwa me myśli z układy,
Krew tętni a śreś żywioł bije,
Czas wrócić nino niechęci do ludzkiej obłądy,
Smutek i tęsknicę ... młaski śniechu przykryje.

M. Wichurski-Cydzik.

D o n a u k i !

W każdej wiosce jest kapela,
Która wszystkich rozwesela,
Niechaj młodzi nie żartują,
Do muzyki się szykują.

Niech nie braknie nam ochoty,
Bieć się szybko do roboty
I do śpiewu pięknej sztuki,
Spieszcie wszyscy do nauki!

Stawajcie Młodzieńki
Wszyscy dziś do mety,
Niech zagrają skrzypki,
Klarnety i flety.

Niech nam zagra kontrabas,
A przedcej nam minie czas,
Tylko proszę was Młodzieńki,
Nie trzeba dziś spać.

Bierzeć się do dzieła,
Śpiewu i muzyki,
Nikt wam nie zarzuci,
Złacie są próżniaki.

Przystąpcie do dzicki,
I do dobrych czynów,
Polska was przywita,
Jako dobrych synów.

Każdy was oceni
Te waszą robotę,
Kiedy nam zagrać,
Naszą piękną Rotę.

Możecie też zagrać
Piękną Kołomyję,
Nikt wami nie wzgardzi,
Bez żadnej racyji.

Muzyka zawiera
W sobie różne sztuki,
Więc nie trzeba spać,
Brnąć się do nauki!

Stanisław Bylica.

K r a j o b r a z n o r w e s k i

I patrzę za zbroczy na rozległy obraz
Norweskich fiordów,
Z potężnych brzezyn, ze skał mchem
Obrosłych,
Patrzę na ciemnozielone wody,
Po których kuśer jakiś płynie
I notory tukoćca
Ciszę niedzielną profanuje.

Patrzę na białe, by ślubne długie welony
Wodospadów dwóch,
Cie się toczą po odłamkach skał,
Stoję i w zamkniętych oczach
Mam
Dalekie, strone ośniewione szczyty,
Na które wieczna moja
Turystka tęsknoty się wspina,
Nie zostaje niestety
Widok
Powróć do mnie z powrotem
Bardziej smutna, bardziej żałobna.

Siedzę
Budzę śnie wizer
Wysokich choin i świerków,
Ich ciemnozielony mrok,
Pełna jego nam w oczach,

Pełno mam szumu wodospadów
W uszach,
Pełno mam w oczach obrazu ożerwonych jarzębin
I nieba i słońca, co z fioletowości
Rodzi się wieczoru późnego, -

I jakby się zamknęła pewna cienka książka
Zatytułowana:
Norwegii, fragment krajobrazu,
Zabiorę go w pamięci komórce
Ze sobą w podróż powrotną.

Alfons A. Olkiewicz.

C y r k l e m . . .

Mgła ścieka
Drobniutkimi kroplami z drzew
W ogłuchłym ciszą świętą gaju mych myśli -

Zaznaczyłem cyrklem koło,
Objawszy nim
Najdalszość sinych gór -

Nie znajdę człowieka,
Wiem,
Li tylko ducha,
Co potnie mi góry
Na sześciiany i graniastokłupy -

I nigdy bym nie uwierzył,
Ze w sali półmrocznej
Pocięte w kryształowe symfonie wodne
Oneż bryły geometryczne
Ujrzę -

Widziałem
Cyrklem zaznaczony blask stołu
I nad nim w po-norwescość
Ja dumam,
W śnieżnych nieskalanych okładach
Mych godzin nocnych
I biednym mym cyrklem
Wiekuiścioci objąć, otoczyć,
Ani w obrębic największego koła
Zamknąć nie potrafię.

Alfons A. Olkiewicz.

W i z j a p o w s t a n i a

Cisza... Tajemniczy głos po mieście goni,
Weiska się do mieszkań wolności zew,
Powstańcie bracia, Do broni! Do broni,
Czas zemsty za przelaną krew.

Śmierć rozhułała się w skrwawionej Warszawie,
W szaleńczym tańcu na domy się wspina,
Głuchym echem brzmi w kościelnej nawie,
Modlitwa matki: Boże strzeż mego syna.

Mamo daj chleba... dziecko oicho się żali,
W komnacie prosba do matki płynie...
Spokojny bądź synku, patrz Warszawa się pali,
Za wolność naszą twój brat tam ginie.

- - - - -

Sen o wolności skończony. Miasto w żałobie tonie...
Wieczny spoczynek daj im dobry Boże,
Bo w sercach naszych mocna wiara płonie
Jeszcze nie zginęła i zginąć nie może.

MIET

--- ooo ---

Alfons A. Olkiewicz

TRZYDZIESCISIEDM PLUS TRZY

Powieść kryminalna

Rozdział I.

Zadumany wzrokiem zapatrzył się wywiadowca Trzebiński w nalaną przed chwilą szklankę lemoniady. Srebrne perełki płynu dążyły szybko ku powierzchni i tam rozbijały się. Trzebiński trwał dosyć długo w tym stanie zadumy i niewiedomo jak to się stało, że nagle zamknął powieki. W ciemnościach jego powiek wyłonił się inny obraz. Czarne, szklane paciorki z rozerwanego różańca czy naszyjnika sypały ktoś do olbrzymiej kryształowej wazy pełnymi garściami. Trzebiński chciał temu zapociedz, wyciągnął ręce, aby dłonie sypiące owe imitacje pereł czarnych uchwycić, powstrzymać, ale naderemny to był jego trud. Trzebiński czuł, że ręce jego natrafiają na próżnię zimną, nieodeyfrowaną, której nijak pojąć nie potrafił. Uważał, że waza kryształowa to jego dusza, której nikt pojąć nie potrafi, tak jak onej próżni pojąć nie umiał i że imitacje pereł - - -

Trzebiński otworzył nagle oczy. Odsunął ręką szklankę. Wzrok swój skierował przez dużą szybę restauracji na ulicę. W mroku zapadającym rozeznął wiotką postać kobiety, przechadzającej się wolnym krokiem wzdłuż frontu przeciwnieległego szarego domu. Nagle kobieta stanęła i spojrzała w jego stronę. Wzrok wywiadowcy utonął w czarnych dużych oczach onajdziej kobiety. Patrzeli sobie długo w oczy. Raptem kobieta odwróciła głowę, postąpiła kilka kroków i podjęła znów swoją przechadzkę wzdłuż chodnika. Wywiadowca Trzebiński drgnął, gdy kobieta stanęła w świetle latarni i na białej kształtnej szyji jej zauważył rząd czarnych szklanych pereł.

- Dziwno - szepnął do siebie. - Arcydziwno - powtórzył. I sięgnął ręką po szklankę z lemoniadą. Wypił do połowy i szklankę postawił na białym obrusie stolika napowrót. W ułamkach sekund swego myślenia przerobił, przetwarzał miliony lat gwiazdnych przeobrażeń. Każda gwiazda znaczyła dla Trzebińskiego wiarygodność pewną, której nie znał nawet w milionowym ułamku przybliżenia. Ile to rzesz górników swych myśli przesłał Trzebiński tam, aby zaczęli tamże kopać, ile kopali tamże założonych było, a zasypywały oneż to kopalnie pyły z innych gwiazd - - -

Trzebiński wiedział, że wejściem w orbitę - w swoich bezskutecznych podsumowaniach - onajdziej kobiety, posunął się o krok, o właściwy krok dalej. Trzebiński również wiedział, że onaż to kobieta może naprowadzić go na ślad, który się przed rokiem przerwał, zatracił zupełnie. Może go naprowadzić...

Wywiadowca poniekąd się niezmiernie ucieszył. Odchylił się zadowolony w krzesło i aparty o jego poręcz wygodnie dalej obserwował. I obserwacja jego wpadła w tok ukochanej jego namiętności, że poprostu popełniłby samobójstwo, gdyby kobieta owa nagle znikła bez śladu i wszelkie poszukiwania byłyby bez skutku. Spojrzenie jego więc ustawicznie ściagało wiotką postać przechadzającej tam i z powrotem. W wnętrzu małej restauracji, leżącej przy ulicy Małeckiego panował dziwny spokój. Restauratorka zapaliła właśnie lampę elektryczną i siedząc sobie za bufetem robiła jakiś swetr na drutach. Słyszał li tylko Trzebiński od czasu do czasu trzaskanie drutu o drut. Trzebiński był jedynym gościem.

Ruch na ulicy był ożywiony i wywiadowca obawiał się, że lada chwilę otworzą się drzwi i wejdzie ktoś do restauracji i przerwie mu te obserwacje. Nie, właściwie by nie przerwał, ale wniósłby to, czego Trzebiński się obawiał: wniósłby głos człowieka, a głos właściwie należałoby wyeliminować. Głos to kąt spuszczaający nóż gilotyny na szyję - tak, na szyję owejże kobiety, ujrzałby krew, widziałby Trzebiński padające ciało kobiety tamtej na bruk, a potem gdyby wstał ujrzałby puste miejsce przeciwległego frontu domu, przekreślonego potem przesuwanymi sylwetkami przechodniów. Byłoby to okrutne. Wiedział Trzebiński że nerwy jego naprężone jak druty telefoniczne w mrozie naglej oczywistości by pękły. Tego należało uniknąć. - I jak kobieta stanęła w bramie i znów spojrzała swymi czarnymi hipnotycznymi oczami na niego, wstał, sięgnął po płaszcz i kapelusz, ubrał się, zapłacił za lemoniadę i wyszedł spiesząc z restauracji. Stał chwilę przed drzwiami. Minęła go jakaś para małżonków. Słyszał szept mężczyzny:

-Dobrze, że przyjechałaś do Poznania.

-Chyba mnie tym razem nie zaniedbasz.

-O, nie... Przebacz mi. Wtedy to było.

Para małżonków oddaliła się tak, że dalszych słów Trzebińskiego ucho nie ułowiło. Nic go nie obchodziło teraz. Ani samochód co go minął, ani samochód jadący z przeciwnej strony coby go wnet przejechał kroczącego na ulos przez jezdnię.

Trzebiński zauważył, że oczy kobiety wzywają go. Wzywają go o pomoc. Wiedział to wyraźnie. Trzeba było natychmiast podać rękę, choć bystre oko wywiadowcy znikąd onego niebezpieczeństwa zagrażającego kobiecie nie spotrzegło. Trzebiński był przyzwyczajony hieroglify wtedy dopiero odcyfrować, gdy nie z nic zsumował lub nie od nic odejnował. Dopiero wtedy mógł się wyniku spodziewać.

-Wzywałam pana - szepnęła, gdy Trzebiński stanął przed nią. I swoje lękiem dziwne rozszerzone oczy utkwiła w niego.

-Widziałem to w pani oczach - odszepnął.

-Chodźmy stąd - rzekła szybko, chąc pójść.

-Właśnie, że nie.

-Nie? - zdziwiła się i stanęła. - Pan nie rozumie.

-Rozumiem. Albowiem trzeba je natychmiast unieszkodliwić, bo inaczej to widmo będzie panią ściagało dalej.

-Ma pan rację. Ufam panu. Ujrzałam pana przez szybę w restauracji i coś mi mówiło, że tylko pan ona sprawę rozwiązać potrafi. Pan jest wywiadowcą Trzebińskim?

-Tak - odparł z eleganckim ukłonem.

-Ja zaś panu powiem tylko swe imię: Celina, i to panu musi wystarczyć.

-Wystarczy też, - odparł Trzebiński i z iście faraonским spokojem zapalił papierosa.

Wieczór był chłodny i wiatr dmął lekki po bruku ulic. Minęło ich znów kilka przechodniów.

-Pani czekała tu na kogoś napewno.

-Napewno czekałam na . . . pana - odparła z dziwnym spokojem w twarzy.

-Hm . . . tylko na mnie?

-Aby pan wyszedł z restauracji.

-I abym wszedł w obręb tego domu i rozpoczął walkę, która byłaby dla pani daremną.

-Tak.

-Więc podejmuję ową walkę.

-Idę z panem wtęły - zdecydowała się ostatecznie.

Wywiadowca Trzebiński pchnął ciężkie, dębowe drzwi domu i wszedł do długiej, ciemnej sieni. Celina za nim. Szukał ręką kontaktu elektrycznego. Znalazł i zakręcił. Światło w głębi rozlało się bladawo po długim korytarzu. Trzebiński ujrzał w bladym świetle innych lamp bieg schodów na dalsze piętra. Światło lampy umieszczonej akurat na początku biegu schodów, używało ich.

-Chodźmy.

Szli.

-Czy pani była kiedyś w tym domu. - pytał.

-Nie byłam - odparła. - Widziałam go tylko we śnie. To wewnątrz, tę klatkę schodową.

-Weszli na schody. Gdy stanęli na podeście i Trzebiński spojrzął przez okno na podwórze, szepnęła Celina:

-Przesypywanie szklanych, czarnych perły naszyjnika mego, znalezionego przez pana w pustej świątyni, z jednej retorty do drugiej -

-Pani myśli o tym doświadczeniu. Kiedyś mi się tak śniło - rzekła szybko.

Obejrzał się i nabrał na jej fascynujące oczy.

-Nie obawia się pani teraz niczego?

-Nie. Teraz nie.

Uśmiechnął się, zdusił niedopałek papierosa na parapiecie okna i zostawił go.

-Nie obawiam się niczego, bo jedynie ja sprzągam ognia pańskiej modlitwy.

-Pani . . . tak - odparł z zadumą pełną.

-Tak.

Dotknęła ręką swego naszyjnika.

-To są perły z pani naszyjnika, czy różańca -

-Perły przez pana znalezione.

-Widzę.

-Ale jest ktoś - rzekła po chwili, patrząc bez przerwy w oczy Trzebińskiego - co mnie ściga jak upiór, jak widmo . . .

- Co pania śoiga - prawda. I trzeba tego kogoś od razu znóweczyć. I po to wstapiliśmy do wnętrza owego domu. Pani czekała przed domem na wyjście czegoś.

-Czekałam. W gwarze ulicy zawsze ktoś mógłby mnie obronić, sądziłam, bo w pustym pełnego niesamowitości mieszkaniu jego, nikt by mnie nie bronił.

-Dlatego ucieszyła się pani ujrzawszy mnie w restauracji.

-Ucieszyłam się.

Wchodzili na trzecie piętro.

-Czy to te drzwi. - pytał Trzebiński.

-Tak. Te. - odparła powoli, zamykając na chwilę oczy, dla przypomnienia sobie. - Ten sam sztydzik widziałam. Li tylko nazwiska odczytać nie mogłam. Litery były zamglone.

Wywiadowca Trzebiński odczytawszy półgłosem nazwisko: Loniak, zadzwonił energicznie do drzwi. Czekali. Dzwonicie rozlegało się po długim korytarzu mieszkania. Jeszcze raz zadzwonił. Dopiero po drugim dzwonieniu coś się ruszyło. Ktoś trzasnął drzwiami i ciężkie kroki zbliżały się do drzwi mieszkania. Usłyszeli chrzęst odsuwanych zasów i łańcuchów. Na wąską szparę odsunęto drzwi i jakiś głos zapytał gróbowo: -

-Kto tam.

-Otworzyć. Zawołał wywiadowca Trzebiński.

- Tamten za drzwiami wahał się. Wywiadowca zauważył li tylko oczy patrzące uporczywie w stronę Celiny. Trzebiński odwrócił się do swej towarzyszki. Uchwycił obojętny wzrok jej i uspokoił się. Znow spoirzał w parę oczu tamtego znajdującego się za szparą drzwi w korytarzu. Ujrzał w oczach tamtych teraz zdumienie i lek.

-Otworzyć! Policja! - krzyknął wywiadowca zniecierpliwiony.

To podziękowało. Tamten natychmiast odsunął ostatni łańcuch od drzwi i rozwarł je szeroko.

/Ciąg dalszy nastąpi/

R E C E N Z J A

INAUGURACYJNE PRZEDSTAWIENIE TEATRALNE ZESPOŁU
AMATORSKIEGO W OBOZIE POLSKIM SLETTEBÖ - EGBERSUND

Dnia 17.10.1945r. odbyło się przed zaproszonymi gośćmi norweskimi: Przedstawicielami Władz Miejskich i przy silnej frekwencji mieszkańców obozu w tutejszym Polsk Leir inauguracyjne przedstawienie teatralne zespołu amatorskiego.

Po krótkim a treściwym przemówieniu Komendanta Obozu Kola Lebedy, przemówieniu w języku norweskim jakie wygłosił do Gości norweskich Komendant norweskich paracincrt, po odcgraniu Hymnów: norweskiego i polskiego, zespół teatralny odegrał rewie pt.: "Wracamy do kraju" w której, jak to się mówi, było dla każdego coś ładnego, dużo humoru i trochę żezki. Powodzenie wieczoru ma się do zawdzięczenia org. ośw. Kol. Kiereckiemu, a przede wszystkim Kol. Niksowi jego szczerej, pełnej poświęcenia pracy w reżyserowaniu całości.

Kol. Niks starał się z amatorów wydobyć maksimum wysiłku co mu się też udało. Chęci wszystkich były szczere.

Poza niewielu niedociągnięciami, jak na premierze, całość wypadła bardzo dodatnio. Wrażenie u Norwegów, jak można było zauważyć, też było dodatnio, choć w wielu wypadkach nie znając języka polskiego scen nie zrozumieli.

W poszczególnych obrazach jak w skeczu: "Sąd", było tempo i werwa gry. Dobry w grze i jako autor, a to zanotować trzeba przede wszystkim, był Kol. M. Wichurski w scenie patriotycznej: "Za naszą i waszą wolność" inne wstawki rewiowe jak: "Chińskie cienie" i nie pomijając sceny w oberży, gdzie na tle wnętrza tejże oberży odegrał Kol. Starosta z wielkim wczuciem i talentem czardasza na skrzypcach - były dobre. Chór pod dyr. Kol. Krzyżowskiego w wykonaniu wiazańek polskich - niezły. Nie należy tu pominąć poszczególnych wykonawców ról. Kol. Szakaśny Sledź i Woźniak dali z siebie wszystko na co takim amatorom stać było.

Świetnie zgrana kapela pod batutą Kol. Starosty - pełna życia i tempa. Należy zwrócić uwagę na ładne dekoracje art.-mal. Kol. Watorowskiego. Strona techniczna spoczywała w rękach Kol. Draininga, Trzcinskiego i Rybickiego.

Całość wykonania instalacji elektrycznej mamy do zawdzięczenia Kol. Gabrysiowi.

Na zakończenie pragnę zachęcić reżysera, wykonawców i autorów do dalszej owocnej pracy w tym kierunku i mam nadzieję, że następne przedstawienie wypadnie jeszcze lepiej.

A. A. O.

H U M O R

Skowronek.

Głucha ciotka Barbara wyszła z wychowanicą swoją na przechadzkę. Droga ich prowadziła przez most, pod którym przejeżdżały pociągi. Nagle rozległ się prze-
rażliwy gwizd lokomotywy. Ciotka Barbara stanęła. Na
ustach jej pojawił się uśmiech i rześka, zwracając
się do swjej wychowawicy z rozjaśnionym obliczem:
-Wiesz Agnieszko, pierwszy raz w tym roku słyszę
skowronka.

Kłopot pana Abażura.

-Dobry wieczór, panie Lampenschirm!
-A dobry wieczór, panie Nebelschwanz!
-Co nowego?
-Mam kłopot.
-Nu a co się stało?
-Mój syn...
-Przeniósł się na łono Abrahama?
-Nie jeszcze.
-To żyje?
Lampenschirm kiwa potakująco głową.
-Jak żyje i nie umarł, to co u diabła jest z nim?
-Chce koniecznie zostać kunsztmalarzem.
-Wybić mu to z głowy, panie Abażur.
Zbankrutuje pan przy tej jego profesji.
-To co mi radzisz panie Nebelschwanz?
-Niech zostanie powieściopisarzem.
-Powieściopisarzem jak Marczyński czy inny Leblanc?
-Tak panie Abażur. Bo wie pan papier zawsze tańszy.

--- ooo ---

Odpowiedzi Redakcji.

St. Bylica, Obóz Polski Slettebö. - Wiersz Pański: "Do
Nauki" ogłosiliśmy w tymże numerze. Prosimy o lepsze
Rzeczy.

Ma Wichurski - Cydzik, Obóz Polski Slettebö. - Oba
Pańskie wiersze: "W górach" i "Wizja powstania" -
dobrze. Serdecznie zapraszamy do współpracy i - czekamy
na dalsze utwory.

Redakcja i Administracja: Obóz Polski Slettebö /Eggr-
sund/. Za redakcję odpowiedzialny: Alfons A. Olkiewicz.

